



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

MARYA ELZBIETA KAMIŃSKA.

Śmierć, która przecina życie w chwili jego wiosennej, która zabiera ze świata istotę młodą—budzi wielki żal; choć każdy nosi w piersiach skargę jakąś na zawiedzione przez życie nadzieje, na nieziszczone przez życie marzenia, niemniej widok śmierci wczesnej ściska ludziom serca. Nie doświadcza się tego gdy niewinna duszyczka dziecka uchodzi w zaświat, nieprzebudzona do uczuć i myśli; ale smutno jest grzebać w grób młodość, która miała już przeczucia wszystkich ukochań, porywy ku wszystkim pięknościom, wszystkim ideałom ludzkości — cały zasób życia gotowy i zgromadzony. Żal ten potęguje się przecież o wiele, gdy osobistość wcześniej zgasła była wyjątkową, gdy nadzieje jakie budziła, były wysokie: wtedy społeczność bratnia żałuje i straty własnej, ogół zasmuca się zubożeniem, które go spotkało i takim było uczucie, które sprawiła w powszechności naszego miasta śmierć Maryi Elżbiety Kamińskiej. Zmarła dziewczica miała zaledwie lat dziewiętnaście i niepłonną nadzieją była zapowiedź wielkiego talentu poetycznego, który objawił się w utworach nie tylko bardzo wdzięcznych jako forma, ale już podniosłych jako myśl, podniosłych i szlachetnych jako uczucie. Historia jej życia krótka jest: urodzona w Listopadzie 1858 roku w Wiazowny, w powiecie Warszawskim, w piątym roku życia została sierotą bez matki. Do trzynastego roku przebywała na wsi w domu rodzicielskim, rosła wśród bardzo licznej rodziny, pod kierunkiem drugiej żony swego ojca, aż je-



Marya Elżbieta Kamińska.

sienią 1871 r. przybyła do Warszawy, do brata, znanego prawnika i literata, Jana Maurycego Kamińskiego, i ta chwila zaznacza się epoką w życiu młodem—ta chwila budzi do życia umysł dziewczęcia—sieroty. Przybywając do Warszawy, umiała tylko czytać i pisać, w przeciągu ośmiu miesięcy przebyła trzyletni kurs szkolny, to jest przygotowała się do nauki pensjonarskiej tak, że z następnym rokiem szkolnym wejść mogła do klasy czwartej. Wprawdzie brat-opiekun ułatwiał jej naukę umiejętnem, pedagogicznem jej prowadzeniem, niemniej wykazuje to umysł niepospolicie zdolny, niepospolitą bystrość pojęcia. Do 1875 roku zostawała na pensji i wtedy zaczął się objawiać, a nawet zaczął już zwracać uwagę rozwijający się coraz talent. Pisała wierszem łatwo i wiele, pisanie to lubiła, brat przecież nie chciał przywiązywać wagi wyższej do tych wierszyków pierwiosnków, bo nierzadko przebudzeniu się ducha kobiecego towarzyszą takie porywy, doprowadzające więcej poetyczności młodzieńczej, niż rzeczywistego daru poezji właściwej. Przecież tu dar ten istniał i objawy jego nie były jedynie formą przejściowej fazy uczucia; po wyjściu z pensji szesnastoletnia Marya Elżbieta nie przestaje pisać, uczy się jeszcze, uczy poważnie, jak mało kobiet: łaciny, matematyki, to przecież nie odrywa jej od poezji, i nie tylko brat, rodzina, ale i koło szersze—publiczność czytująca odgaduje i uznaje w niej obdarowaną, odgaduje i uznaje w niej poetkę.

Pismo nasze drukowało w 1875 roku wiersz jej: *Lilia*, ładny, smutny wiersz o miłości, tęsknocie i śmierci, z którego trudno się było domyśleć, że jego autorka: *Marya Elżbieta*, to jedna i ta sama osobistość, która pod pseudonimem *Em-Ka* umieszcza w *Kolcach* od 1873 r. satyryczne humoreski, i wesoło śmieje się z drobnych ludzkich pretensyj, z li-

chych ludzkich zachcianek — z ubóstwa i poziomości pewnych dusz mądrych. Ale to było jej cechą oryginalną, że w życiu bardzo wesoła, do żartu skłonna, do łatwego dowcipu usposobiona, rozśmiać się, poszydzić nawet lubiła, kryjąc przecież głębiej uczucia tliwie i rzewne, smętność i tęsknotę zwykłą poetom. Niezmierna łatwość wierszowania i giętkość, podatność formy, złączona z tą okolicznością, że brat jej, u którego od opuszczenia pensyi stałe przebywała, był redaktorem *Kółców*, więc zbliżenie konieczne do humorystki, wpłynęła niewątpliwie na ten kierunek jej pióra. Nie ją nie kosztowało oblec żart w formę wierszowaną, więc czyniła to, lubiła nawet bardzo, choć troskliwosc dobrego brata zaczęła się wkrótce lękać, aby to, co było w początku swoim zabawką wesołą, nie stało się z czasem wykrzywieniem talentu, w który już teraz wierzył, który cenil i wyższą nauką podpiecać usiłował. Poczęto jej bronić takich wierszy, ale dopraszała się usilnie, aby pozwolono istnieć *Em-Ka* — aby pozwolono żyć w niej młodej, wesołej werwie, która rzeczywiście groźną nie była dla baczniejszego postrzegacza, bo humoreska dziewczęca nie kłufa nigdy gorzka, bolesną ironią, satyra nie była zatruta gryzącą cierpkością żółci. Toteż zwolna poczyną ją opuszczać chęć żartobliwa; gdy dziecko stawało się kobietą, poetka przestaje się śmiać i poważnie, oblega ją rój myśli, które dają jej zadumęsmętną, umysł pracuje i odbywa się w głębi młodego ducha ta organiczna praca, z której dopiero mógł wyjść skończony kształt moralny. Że tak było, ślad wybitny istnieje, poezyje jej z lat ostatnich, 1876 i 1877 r., noszą go na sobie. Wśród koła intelligentnego, które ją otaczało, musiała się spotykać z walką i ścieraniem się zdań, z krytyką i analizą, z doktrynami filozoficznymi, które z kolei musiały staczać walkę z nią samą o jej ducha. Duch ten nie poddaje się przecież, i dla uratowania oryginalnej istoty natchnienia swego opór stawia. Kiedy jest w spokoju, tworzy poezyje wdzięczne, słodkie, dziewicze, Schiller powiada o młodości swojej: „Ich schlang mich mit Liebesarmen um die Natur!...“ ona jeszcze łagodniej oddaje się raczej objęciu natury, śni w niem, marzy. Dowiedziawszy się dlaczego lilia „zwolna schła po nad przestrzenią wód błękitną,“ śpiewa o białej róży na łące, która miała głębie łona różowe:

„I gdy gwiazdy niebo złocą,
Wiodła z niemi cichą nocą
Rozmowę...“

Ale wzburzona tem, co w piersi jej walczy i bojuje, woła z *serca* wyrwanem słowem namiętnego odporu:

„W życiu mamy dość ostów i cierni,
Więc miłosierni
Ludzie nam radzą,
Aby hamować zapał prawdziwy
Rozumu władzą.
O! zaćnij gwiazdy lśniące w oddali.
Wzburzonej fali.
Tamę postanów;
Zgaś słońce, które lazurów strzeże,
Zamroź w kraterze
Lawę wulkanów:
Lecz gdy ci serce żywiej zapłonie,
Gdy się w twem łonie
Świat uczuć chowa,
Młodzieńczych pragnień niechaj nie studzi
Przeżytych ludzi
Maska grobowa...“

Metoda krytyczna pewnej filozoficznej szkoły wywołuje z głębi jej duszy gorętszy, silniejszy protest, i znajdujemy w jednej z jej poezyj pośmiertnych taki protestu tego wykrzyk:

Przeszłości! grób twój rozkopano,
Rozdarto twój szatę białą,
Lecz z niezgojoną w piersiach raną,
Z tęczą, co nad twem czołem świeci,
Z skarbami, które ci zostaną,
Zawsze mieć będziesz cześć twych dzieci...

Tu nie odzywa się już do nikogo po za nią stojącego, nie odpowiada już nikomu; tu rozmawia

tylko szlachetnym duchem młodym z ideałami swemi, tu też niema już ani sporu, ani odporu, ale jest wyznaczenie i postanowienie. Uroczyste to są takie chwile aktu przekonań osiągniętych, ślubów z ukochaniami, z wierzeniami swojemi i po nich dopiero sztukmistrz wszelki dochodzi do równowagi duchowej, do spokojnego duchowego skupienia, które pozwala mu tworzyć według swej oryginalnej istoty, wyniesionej spośród różnych wpływów zewnętrznego oddziaływania. Dla Maryi Elżbiety taki moment psychiczny nadchodził właśnie; o momencie takim, o takiej chwili stanowczej dla poety mówi się pospolicie, że znalazł drogę swoją: otóż ona na drogę taką samodzielnego tworzenia wstępowała już. Słowacki i Asnyk byli jej ulubionymi poetami, powiedzieć można, że kształciła się na ich szkole szlachetnej, ślad formy Asnyka zaznacza się nawet wybitnie, ale z duchem jej młodym; a poetami wybranymi przez nią na wzory dla tego, że są jej pokrewni, że przewodnią ich idea jest jej idea, związek był takim jedynie, że ją na pierwsze wzleczenie poetyczne wspomogli, podrzucili niby do lotu, do którego jak ptaszę młode nie miała jeszcze skrzydeł dość mocnych, choć miała już tęsknotę przebywania górnego, tęsknotę wysokich sfer poezyi.

Ale pióra jej rosła i silnieją, staje się już tylko siostrą tamtych, z którymi patrzy ku gwiazdzie jednej. Biedna! nie mająca już oglądać na ziemi kwiatów wiosennych, Antygona, którą śmierć wiodła już ku brzegom Acherontu, którą Acheront już tylko wołał do ślubu, tak pisze o kwiatach jesieni:

Kwiaty dni późnych! smutne dzieci jesieni,
Żal mi was! próżno za przeszłością tęsknicie...
Czasami słońce główki wasze zrumieni,
Lecz wnet, żałując złocistych swych promieni,
Za chmur osłoną śpieszy skryć się w błękicie.

Podmucha wiatru woda zdrojów zmacona
Już nie odbija barw waszego oblicza.
Szemrze żałośnie wiatrem gdzieś w dal pędzona.
Gdy was przytula noc gwiaździsta do łona,
W lesnej gęstwinie nie brzmi piosnka słowicza.

Biedne! kwitnienie na mogiłach swych braci,
Korona wasze groby same ocienia,
W grobowych światłach własne blaski swe traci.
Biedne! pobbładłe wobec dawnych postaci,
Za skarb jedyny macie tylko wspomnienia!...

Zima idąca w śniegów srebrnych tumanie,
Na czarną ziemię rzuca lśniący płaszczyk bieli;
Kiedy wiosenki błysnie jasne zaranie,
Już tu was wtedy biedne kwiatki nie stanie.
Zwiększycie tylko liczbę tych, co cierpieli!...

Co za odskok wysoki od tych niedawnych jeszcze wierszyków ładnych o różach i liliach, co za wyrobienie już w myśli i w jej wyrazie artystycznym, jaka głęboka siła uczucia, a ztąd razem jaki żal niewysłowiony, że geniusz życia zgasił nad tem wszystkim pochodnię swoją, że to wszystko poszło w grób!...

Bardzo wdzięczną, bardzo słodką i miłą jest dumka pod tytułem: *Marzenie*, którą napisała na żądanie do muzyki:

Cisza — tylko w oddali
Wiatr listkami porusza,
Szemrzą roje motyli,
Słońce kona wśród fali,
A fujarka pastusza
Za górą gdzieś kwili.

Tak się skarży i jęczy
Jak sierota malutka
U matczynej mogiły.
Ustrojone w blask tęczy,
Wszystkie kwiatki ogródka
Barwne główki schyliły.

A dziewczyna zdumiona
Potrzy na świat szeroki,
Słucha piosnki nieznanej
I chciałaby do łona
Tulić srebrne obłoki,
Gwiazdy, pola, kurhany!...

Już oddawna przebrzmiały
Tony skargi tej cichej,
A pastuszej piosence
Wtórzył jeszcze las cały,
Wonne kwiatów kielichy
I serduszek dziewczęce!...

Serduszek dziewczęce odczuło wszystkie dźwięki, które grały w przyrodzie jej rodzinnej ziemi, w pieśniach jej poetów; odczuło je głęboko i odpowiedziało im rzewnie, tliwie. Wesoła, swobodna istota, która mieszkała w niewinnej piersi młodej, przestała się śmiać — i wszystko mówi, że poetka liryczna wysokiego nastroju byłaby przemawiała z kolei do sere, do duszy; ale śmierć wyciągnęła z młodych dłoń swoją i pozostanie nam tylko wspomnienie o pięknym, wonnym *kwiatku jesieni*, który zakwitnął na niwie literatury naszej, aby uwieścić natychmiast.

Marya Ilnicka.

SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

W czasie niebytności p. Erazma, który teraz namiętnie bardzo polował i codzień do lasu chodził, p. Strukezaszyc zapotrzebował laku, rzeczy, której podówczas mało używano i nie zaopatrywano się w nią zbyt często. Kawałeczek ostatni, osadzony na piórze, został do szczytu wypieczętowanym, Hojski był pewien, że znajdzie laskę u syna.

Poszedł więc do jego pokoju, przeszukał na stole, przewrócił wszystko i zajrzał do szufladki.

Nie było i w niej laku, ale stary zdumiał się mocno, znajdując jak relikwią zawiniętą, śliczną damską rękawiczkę.

Wziął ją do rąk, poniosł do okna, opatrzył ze wszelkich stron, powąchał: pachniała bardzo pięknie — zadumał się mocno, brew mu się namarszczyła. Ponieważ obok był pokój p. Blandyny, zastukał w ścianę, i Strukezaszanka, trochę nastraszona, nadbiegła.

— Patrzaj-no — co-to to jest? — zapytał — rękawiczkę podnosząc do góry stary.

Panna Blandyna zbliżyła, zacierwieniła się: odgadła wszystko, ale powiedziała sobie zaraz, że będzie się starała obronić ukochanego siostrzeńca.

— No, cóż ma być? — rękawiczka?

— Tak, widzę, ale czyja?

— Ja nie wiem, może moja?

— Twoja! ale-ba! kiedyżes ty takie rękawiczki nosiła? To także! Co ona tu robi zawinięta w atłas jak *sacrosanctum*, w stoliku Erazma? he?

— A! dałbyś pokój! on sam pewno nie wie po co ją tam włożył! No — pewno znalazł na weselu u Podkomorzego.

— A! ba! — rzekł Strukezaszyc — patrz asińdzka, atłas uwinięty we dwa papiery! — tyle popsutego papieru! Na wierzchu stoi data. Czytaj: „dnia 9 Lipca“ i rok.

— Ale cóż ma data do rękawiczki! śmieszny-bo jesteś! — odparła p. Blandyna.

— Asińdzka jesteś sama śmieszna, jeśli sobie wyobrażasz, że ja dam sobie wmówić co zechcesz.

— Ale cóż ci się śni z tą rękawiczką?

Strukezaszyc rzucił *corpus delicti* napowrót do szufladki.

— Oto, że Erazm czuje wolę Bożą, hm! — rzekł Strukezaszyc. Pachną mu rękawiczki i ręce ko-biece. Chłopak się bałamuci. Gdzie? co? jak?

— Po cóż ci to dochodzić, kiedy milczy? — odezwiała się Blandyna łagodniej. Proszę ciebie, daj mu z tem pokój. Nie pytaj, nie gadaj. Zrób, jak na ojca rozumnego przystało: widzisz, że pora potemu, staraj go się ożenić.

Hojski nie odpowiedział już nic.

— Proszę cię—odezwał się zimno, posuwając się ku drzwiom—niema u ciebie kawałka laku?

— U mnie laku? — i ruszyła ramionami Blandyna. — Strukezaszyc wyszedł.

Troskliwa ciocia, posłyszawszy zamykające się za nim drzwi, pośpieszyła do szufladki, przypatrzyła się rękawiczce, obwinęła ją starannie, włożyła napowrót i, okrutnie zafrasowana następstwami tego odkrycia, namysliła się: czyby nie wypadało wyjść naprzeciw siostrzeńca, ażeby go o wypadku uprzedzić?

Trwożyła się, znając gwałtowność i despotyczny charakter brata. Niechęć być postrzeżoną, tylną furtką wysunęła się z ogródka, i, ponieważ Erazm zawsze wracał od lasu, skierowała się ku niemu. Złożyło się bardzo szczęśliwie, gdyż, nim doszła do zarośli, postrzegła Erazma ze strzelbą i Tyrasa, który do niej skomląc, przybiegł, a na twarzy siostrzeńca takie rozpromienienie wyczytała, taką jakąś szczęśliwość, że się jej straszno zrobiło.

— O! kocha się! — rzekła w duchu. — Erazm zbliżał się — śmiejąc.

— Cóż to się cioci stało? Na spacerze? sama jedna!

Panna Blandyna nie mogła wytrzymać — ani pół minuty.

— Erazm! — umyślnie wyszłam naprzeciw ciębie, aby cię ostrzedz. Spojrzała mu w oczy bystro.

— Ojciec w stoliku znalazł rękawiczkę!

Siostrzeniec pobałdł i drgnął: więc czuł się winnym — nie umiał nawet naprędce odpowiedzieć.

— Mów — co to za rękawiczka?

Choć Erazm miał dawno ochotę przyznać się do wszystkiego przed najlepszą z ciotek, ale zaskoczony tak, zląkł się i zaniemiał.

— Ale, powiedz — że mi! ja cię nie wydam! Ty się kochasz?

— Moja ciociu? a gdyby tak było? czy to tak wielki grzech?

— Spodziewam się, że nie w żadnej mężatce.

— A, niech Bóg uchwali! — podchwycił Erazm.

— Któż to jest?

— Nie mogę jeszcze cioci powiedzieć — odezwał się siostrzeniec — zaręczam tylko, że panna, że to anioł! ze...

Panna Blandyna niecierpliwie rękami strzepnęła.

— Jak się kochacie, to wam wszystkie anioły! — wyrwało się jej mimowolnie.

— Cóż będzie z ojcem? — spytała żywo.

— Z ojcem — a ja nie wiem.

— Jeżeli spyta?

— Ja ojcui nie mogę nic powiedzieć.

— A to pięknie! Kochasz się! Anioł! chcesz się żenić i nie śmiesz powiedzieć ojcu! Panna na nie zabudź dając rękawiczki.

No — to co z tego będzie?

Westchnął młodzieniec; p. Blandynie żal się go zrobiło.

— Tego nam jeszcze w domu brakło! — szepnęła zicha. Przygotuj — że się przynajmniej zgrabnie wytłomaczyć.

Właśnie nad tem się Erazm musiał namysleć, gdyż stał z głową spuszczoną, patrząc na Tyrasa, a że temu się zdawało, iż pan od niego coś żądał, czekał więc i rzucał się ku niemu. Panna Blandyna, widząc, że jej przysługa nie na wiele się przydała, lży miała w oczach.

— Jeżeli mi się przyznać nie chcesz, odezwała się, ja cię zmuszać nie będę. Rozważ tylko zawczasu co ojcui powiesz, gdy cię zapyta.

Erazm nie odpowiedział nic, bo w istocie sam jeszcze nie rozstrzygnął w sobie co pocznie. Przyznać się ojcu nie mógł na żaden sposób, kłamać nie chciał — postanowił zmilczeć.

Zawracali ku dworowi.

— No? namysliłeś — że się? — spytała p. Blandyna.

— Jeżeli ojciec spyta — rzekł Erazm — przeproszę go, ale się mu z cudzego sekretu spowiadać nie będę — nie mogę.

— Ale coż to za romans taki osobliwy, że się z nim tać koniecznie potrzebujesz? — poczęła ciotka. Ojciec twojemu szczęściu i postanowieniu nie będzie przeciwnym, jeżeli partya stosowna.

Erazm nie odpowiedział na pytanie; szedł jak winowajca na stracenie.

— Coś mi to tak wygląda — zakończyła ciotka — jakby nieczysta sprawa. Ty wiesz, że ja ciebie ko-

cham jakby własne dziecko — no, to ci powiem — muszę z góry, jeżeli, uchwali Panie Boże, mężatka, znać ani wiedzieć o tem nie chcę.

Uśmiech Erazma uspokoił ciotkę.

— No — jeżeli niezamężna, dodała, to choćby i uboga była — ojciec się da nakłonić. Spojrzała na siostrzeńca, który znowu dziwnie się jakoś uśmiechnął.

— Rób — że sobie co chcesz, kiedy z ciebie nie wyciągnąć nie można. Chyba chłopka! a no one rękawiczek nie noszą, bo juści nie żydówka.

To uparte odgadywanie pobudziło do pustego śmiechu p. Erazma, aż ciotka się w końcu pogniwała trochę.

— Nie masz we mnie zaufania! — rzekła ostro — wola twoja; ale pamiętaj, że gdy mnie potem potrzebować będziesz, ja od wszystkiego ręce umyję.

Już stali pod furtką ogrodową — Erazm pochwycił rękę ciotki i pocałował ją.

— No, to powiem cioci wszystko — odezwał się, ale proszę mi dać najświętsze słowo, że w żadnym razie, ciotka mnie przed ojcem nie wyda.

Panna Blandyna oburzyła się na samo posądzenie o zdradę. Erazm zbliżył się, i jakby przed spowiednikiem począł *per extensum* opowiadać całą historię miłości swej, od spotkania na grobli do mazura, Lublina, i — aż do kamienia.

Co się działo z ciocią w czasie tych wyznań, tego żaden język nie wypowie, żadne nie opisze pióro. Łamała ręce, zakrywała sobie oczy, wydawała jęki bolesne, bladła, płakała, po kilkakroć uściśnęła nieszczęśliwego, a raczej szczęśliwego chłopca — lecz w ciągu opowiadania, obawiając się jedno słówko stracić, nie odzywała się prawie, nie objawiła nic oprócz litości nad nim.

Ciągle żyjąc ze Strukezaszycem, w ogniu tej walki utraconej Łopatycz z Sierhinem, p. Blandyna musiała naturalnie przejąć uczucia brata, posłubić nienawiść jego i wstręt do Czernyńskich. Nie pojmowała nawet jak mógł się Hojski zakochać w sędziance; było to dla niej zagadnienie takie, jakby, uczciwszy uszy, Tyras rozmiłował się w Milusi, kotee faworycie p. Blandyny, która mu za każdym spotkaniem pluła w oczy.

Lecz, jako osoba pobożna, ciocia wpadła zaraz na myśl, że mogła w tem być ręka Opatrzności, która gotowała w ten sposób święty spokój i zgodę.

Erazm skończył już opowiadanie, a p. Blandyna jeszcze i do siebie i do słowa przyjść nie mogła.

— Głowę tracę — szepnęła nareszcie, — na to ja poradzić nie potrafię! Al! nie! Znasz ojca zajądłość na nich! To nie może być! Strukezaszyc na to nigdy w świecie nie pozwoli! Nigdy! a może też i ty sobie z głowy wybijesz.

— Nigdy w świecie! Do śmierci ją kochać będę! — Krzyknął Erazm — nie wyrzeknę się za nic!

Panna Blandyna usta mu zamknęła i była przybita tak niespodzianą wiadomością, że potrzebowała z nią uciec gdzieś na osobność i pomyśleć co czynić.

Erazm przez ogród dostał się do swojego pokoju. Pobiegł naprzód do szufladki zobaczyć czy skarb był na miejscu: rękawiczkę znalazł, pocałował i ukrył dla bezpieczeństwa gdzieindziej. — Jak zbrodniarz teraz czekał strasznego ojca sądu i godziny indagacyi.

Daliśmy już nieco poznać czytelnikom Strukezaszycy: był to człowiek milezący, rozważny, zamknięty w sobie, nielubiący próżnych utareczek na słowa.

Wyszedłszy z pokoju syna, po rozmowie z siostrą, najpierw list, który miał wyprawić, odrobił laku, jaka mu pozostała, zalepił, wyprawił, a dopiero począł myśleć o rękawiczce.

Rozwagał: czy mu się z synem należało rozmówić otwarcie, czy nie? Gdyby rzecz była seryo, syn go sam powinien był zaczepić.

Nadawać płochemu bałamuctwu może, nazbyt wielkie znaczenie ani wypadło, ani godziło się. Zachowanie rękawiczki wielkiem grzechem nie było.

Ciekaw jednak był: z kąd się mogła wziąć taka wspaniała rękawiczka? Z balu u Podkomorzego? Z Lublina? bo już ciż nie z sąsiedztwa, gdzie panny chodziły pospolicie z rękami, jakie im Pan Bóg dał, conajwięcej czasem w czarne ustrojone mitenki. Podejrzenie na Lublin padło.

W czasie trybunałów zjeżdżały się tam osoby

niekoniecznie przykładnego życia, dla bałamuctwa deputatów i pomagania w interesach. A nuż pan Erazm, śliczny chłopak, wpadł w sidła której z tych bogiń, dla Strukezaszycy będących przedmiotem zgromy i wstrętu?

Być to mogło, ale Erazm się do Lublina nie wyrwał, nie tęsknił za nim, w domu siedział chętnie, i codzień się absentował! Czasem go po kilkanaście godzin nie było. Hm! Strukezaszyc sam młodym był; wiedział, że wiek ten podległy jest ułomnościom, serce ma miękkie, myśli bujne, i krew nie wodę.

W sąsiedztwie zaś nie było panny na wydaniu ani jednej, dla syna Strukezaszycy przypadającej urodzeniem, majątkiem i wiekiem. Wypadkiem baczne oko ojca w czasie balu u Podkomorzego zniemacka padło na Erazma, gdy tańczył z ową bardzo piękną panią Wiśniewską, która mu się śmiała białymi ząbkami. Ojciec się już wówczas namarszczył na to. Owa piękna pani, której mąż był gamoniem niezgrabnym, mieszkała o półtorej mili od Sierhina. Strukezaszyc posadził syna o romans z mężatką, a jako człek bogobojny, aż się wstrząsnął na samo przypuszczenie takiej okropności. Nie mogło mu z głowy wyjść, że syn się niezawodnie kocha w tej jejmości.

Zle! zle! kara Boża, niebłogosławieństwo, srom, ohyda! Tego cierpieć nie można! — rzekł w duchu. Wziąć go na konfessatę? — że! i duszę zgubi, bo juści kobiety nie wyda. Trzeba szukać innej rady na to.

Tak wszystko rozważywszy, p. Strukezaszyc, przeżegnał się, zamruczał coś, rękami twarz otarł, jakby z niej ślady myśli i frasunku chciał zmasać, i gdy dano znać do wieczery, wyszedł tak na pozór spokojny, że nie po nim poznać nie było można.

Spojrzał na niego syn; przywitali się jak zwykle.

— Ubiłeś — że co na polowaniu? — zapytał ojciec.

— Parę kuropatw i cyranek — rzekł Erazm.

Przy wieczery mowy nie było o niczem, tylko o Kaczorze i o powszednich sprawach.

Erazm się obawiał, aby, gdy sami zostaną potem, nie zaczepił go ojciec. Panna Blandyna, także mając to na myśli, dosiadywała i nie oddalała się; lecz stary, według zwyczaju, wkrótce chodząc pacierze zaczął odmawiać — i rozeszli się.

Nazajutrz też same były obawy. Erazm chciał w domu pozostać cały dzień, aby uniknąć podejrzeń i śledzenia; rozmyślił się jednak, że na wszelki wypadek lepiejby było zawczasu uprzedzić panią St. Aubin. Miał przeczucie, że ojciec coś przedsięwzię. Do kamienia jednak wprost nie poszedł p. Erazm; udał się w zupełnie przeciwną stronę i to tak, aby ojciec go widział. Była to, na nieszczęście, strona właśnie w której leżała wioska pięknej pani Wiśniewskiej.

Odbiwszy się od domu i dopadłszy zarośli, zwrócił się zaraz Hojski ku kamieniowi.

Tak mu było pilno, że stanął bardzo zawczasu, i długo siedząc, czekać musiał, nim panie obie przybyły. Leonilla, niechęć przestraszać, wziął na stronę Francuzkę i opowiedział czego i z jakiego powodu się lęka.

Pani St. Aubin, której już jednostajny bieg tego romansu, żadnymi przeciwnościami niezaostrzane-go, zaczął się nieco nudnym wydawać, jeśli nie z radością, to z ożywieniem nadzwyczajnem przyjęła wiadomość o grożącym im interdykcie. Zajął ją się gorąco nim.

Leonilla, z postawy, wzroku, ze smutku wyrzytego na twarzy kawalera domysliła się, że coś zaszło. Niepokój ją ogarnął. Chciała wiedzieć co się stało; domagała się koniecznie, groziła strasznym gniewem swoim. Naostatek stała się napastliwą i natrętną, czułą, nalegającą — lży miała w oczach.

Erazm milezał jeszcze, napawając się tylko podbudzoną jej czułością dla siebie, bo mu obie ręce dawała całować, i niemal raz — piękną główkę na ramię jego pochyliła. Francuzka za niego podjęła się opowiedzenia na swój sposób tego, co się stało.

— Nie należy kryć przed tobą — odezwała się patetycznie, iż miłości waszej grozi niebezpieczeństwo, rozłączenie — srogie próby! Prawdziwa miłość zrażać się niemi nie daje; rośnie wśród cierni jak róża, jak Salamandra w płomieniach żyje! Tyran ojciec, mający już podejrzenia, odkrył jedną z pamiątek, którą p. Erazm zachowuje! Może go

uwięzić, kazać mu się oddalić, szpiegować. Nasze najmilsze wieczory przerwać się mogą na długo. Serca wasze nie wytrwają bez pokarmu, bez związku; potrzeba już dziś obmyśleć jak z sobą macie korrespondować.

Francuzka mówiła prędko, gorączkowo, chwytając to p. Erazma za rękaw, to p. Leonillę za suknię, spoglądając to na nią, to na niego—zapalając się, jakby chodziło o nią samą.

Oni spokojnie sobie w oczy patrzali, a że dziewczęciu w nich łzy stały. Erazm ukląkł i chciał jej nóżki całować; ale ona pierzchnęła, uciekła, schowała się za drzewo i zawstydzona, zagniewała się sama na siebie.

Tymczasem p. St. Aubin, trzymając Erazma, szepnęła mu do ucha:

— Nie powinienes jej czynić nieszczęśliwą—wołała—ona nie wyżyje bez wiadomości! Ona się może rochorować! Mówmy i radźmy, dopóki pora.

Narady zaczęły się tak nieporządne jakos, przerywane, coraz-to nowemi, nowo-poddawanemi myślami maczone, że z pół godziny upłynęło — a nie nie uradzano.

Nikomus się zwierzyć nie było podobna. Erazm więc spytał nareszcie: czy może się zwierzyć przywiązanej do siebie cioci Blandynie i jej użyć w razie, gdyby mu się oddalić kazano? Panna Strukezaszanka, nieobudzając podejrzeń żadnych, mogła się spotkać w potrzebie z p. St. Aubin na probostwie u ks. Dagiela.

Z początku zaprotestowano przeciwko cioci, obawiano się jej; ale na ostatku, p. St. Aubin, dla której intryżka każda była nader miłym zajęciem, pierwsza się zgodziła na nią — a Leonilla już nie protestowała.

Ponieważ czas jakos nieznacznie upłynął wśród tych uzaleń, zapewnień i narad, oddalić i rozejść się było potrzeba, w ostatniej chwili ponowiono przysięgi, a Erazm dodał, że dopóki coś nadzwyczajnego na przeszkodzie nie stanie, do kamienia będzie przychodził. Umówiono się o znaki na korze sosen, w razie gdyby Hojski albo panie miały nie przybyć lub nie zastać Erazma.

Po raz pierwszy Hojski odważył się powracając odprowadzić aż prawie do krzyża, do którego często Czemeryński odbywał przechadki, wskutek czego ostrożnym być należało.

Na samej granicy stanawszy, długo jeszcze oczyma gonił Erazm zwolna oddalającą się Leonillę, która po kilkakroć główkę zwróciła ku niemu; a gdy zniknęła mu z oczów, smutny ale szczęśliwy, pobiegł do domu, bo już lękał się opóźnić na wieczór, co podejrzenia ojca nanowo mogło rozbudzić.

Spóźnił się też w istocie, mimo pośpiechu i zadychania; ale ojciec nie powiedział mu nic, zapytał tylko znowu: co ubił na polowaniu? Nie było się czem pochwalić.

W ciągłej obawie i niespokojnych wejrzeniach na Strukezaszycę upływały dnie następne. Stary Hojski tak się nie zmienił, tak po sobie nie poznał, że i ciocia Blandyna i Erazm się uspokoiłi zupełnie. Podawnemu chodził do kamienia bez najmniejszej przeszkody, zawsze się jednak oglądając ostrożnie. Trwoga Leonilli i p. St. Aubin powoli też ustępować zaczęła. Francuzka nawet utrzymywała, że niepotrzebnie im napędził strachu, i — że do zimy zapewne żadna zmiana nie zajdzie. — Z chwili tej jednak, która obawę wznieciła, skorzystał Erazm, bo ona go bardziej, poufalej zbliżyła do Leonilli, a łzy jej oczów były pośredniczkami. Codzień oczekiwała nań niecierpliwiej, witała go otwartszą radością.

W Sierhinie wszystko szło postaremu; w Strukezaszycu najmniejszej zmiany oko p. Blandyny nie dostrzegalo. O rekawicze ani wspominał, ani o nią syna zapytał, a czulszym był dlań może niż dawniej.

Mimo to, niepostrzeżenie, Hojski na chwilę z oka nie spuszczał Erazma. W czasie niebytności jego, gdy siostra była zajęta gospodarstwem, stary kilka razy przetrząsał cały pokój syna i wszystkie kryjówki w jego sprzętach. Nie znalazł tam nic oprócz bukietu zwiędłego, i na papierze jakichś cyfr, porysowanych serc i pozaczynanych wierszy polskich i francuzkich. Mimowolnie zapewne ręka zdradziecka powtórzyła razy kilka rozmaicie związane litery L. C. E. H. Strukezaszycę głęboko się nad nimi namyslał, dumał, ale tego L. C. odga-

dnąć nie umiał. Potwierdzały się tylko podejrzenia, i mimo że cyfra do pięknej mężatki nie przystawała, na nią padały głównie.

Strukezaszyc postanowił już był syna wyprawić z domu; ale dokąd i po co? pod jakim pozorem? — nad tem namyslał się jeszcze.

Jednego wieczora, gdy już Erazm, uspokojony, ani myślał o zmianie położenia, w porze niezwyklej, Strukezaszyc zawezwał go do kancelaryi.

Stał przed oknem stary, gdy syn nadszedł — spokojny jak zwykle i obojętny.

— Bardzo mi to nie na rękę — odezwał się powoli, zwracając głowę, ale będę musiał ciebie wysłać, i to na czas dłuższy.

— Do Lublina? — podchwycił Erazm.

— Gdzie tam! W Lublinie nie masz co robić, tam interesów dopilnuje Szawarski; ale o to pani z Hojskich Widulińska, Kasztelanowa Smoleńska, moja stryjeczna, bezdzietna jak wiesz, pisze mi....

To mówiąc list dobył z za kapoty i podał go synowi.

— Przeczytaj sam.

Posłuszny Erazm podszedł do okna. List był niełatwy do odczytania, bo prababki nasze nie siły się naówczas ani na kaligrafię, ani na wymysły ortograficzne; krew pisały przez f, a ból przez u. Kasztelanowej oprócz tego ręka się trzęsła, pióro miała rozszczerpione, i wiersze biegły ku dołowi, ciężąc niektóre, inne nagle zrywając się do góry, następując sobie na pięty, tak, że połapać je było trudno. Doszedł jednak z listu, do miłościwego brata pisanego, p. Erazm, z wielkiem strapieniem swoim, iż stryjenka domagała się przyjazdu jego i posługi, mając sprawy, w których na nikogo się spuścić nie mogła, bo ją wszysej niegodziwie darli i oszukiwali.

— Widzisz — dodał Strukezaszyc — Kasztelanowa jest bezdzietna, a choć majątek nadszastany, zawsze po niej coś nam kapnąć może. Nie trzeba tem gardzić. Nie masz tak dalece tu co robić, bo ja tu wszystkiemu radę dam. Trzeba swoim usłużyć. Osoba dobra, zacna, choć zamłodu trochę płochą była, ale to dawno się zatarło. Stosunki ma pono i na dworze, ludzi dużo zna, — tobie się to przydać może.

Mówiąc powoli i chłodno, spoglądał na syna Strukezaszyc, a choć Erazm starał się pokryć wzruszenie, nie uszło ono ojcowskiego oka.

Sprzeciwiać się woli ojca, — nie było sposobu. Erazm milczał.

— Bardzo mi cię żal, bo mi tu za tobą tęskno będzie — a no, co robić! co robić! — dodał Hojski.

— Ale to może nie tak pilno — odezwał się wreszcie Erazm nieśmiało.

— Owszem, pilno bardzo, Kasztelanowa czeka i prosi (przeczytaj w przypisku), ażebyś jaknajrychlej się stawił.

— Trzeba się wybrać w drogę — mruknął Erazm.

— Cóż to tam za straszny wybór! — przerwał ojciec. — Tłómczek ułożyć, konie kazać zaprzadzić, i po wszystkim.

— Kiedyż ojciec każe? — spytał sicho p. Erazm.

— Ja? choćby jutro! — rzekł Strukezaszyc, spoglądając jakie to uczyni wrażenie.

— Jutro? — z podziwieniem podchwycił syn.

— No — to pojutrze — zakończył stary. — Po co odkładać?

Powiedziawszy to — odszedł. Erazm postawszy chwilę, wprost się udał do ciotki, która, jak się okazało, o niczem nie wiedziała. Posłyszawszy z czem przybył siostrzan, chwyciła się za głowę, potem poczęła płakać i ścisnąć go.

— To są ukartowane rzeczy — szepnęła cicho — kasztelanowa intrygantka jakich mało. Jegomość do niej pisać musiał. Gdzież? co? zawsze się miała kim posługiwać, o nas tak dobrze jak zapomniała zupełnie, tylko tyle, że na Nowy Rok i na imieniny jegomości i jej mieniały się komplementa, a tu nagle zapotrzebowała tak pilno.

Ciotka obiecywała — mimo wstrętu, jaki miała do całego rodu Czemeryńskich, — być pośredniczką w korrespondencyi. Przystępowała do tego z trwogą niezmierną, lecz siostrzeńcowi odmówić nie mogła. Nazajutrz, chociaż, jak na złość, chmury chodziły nad wieczór, a burza i deszcz groziły, puścił się p. Erazm do kamienia, słabą bardzo mając nadzieję zastać tam sędziankę. Francuzka, nierozważna, utrzymywała, że się obłoki rozejdą, że nie nie

będzie i przechadzkę doradziła. Tej nieopatrzności jej winien był p. Erazm, że raz jeszcze mógł widzieć Leonillę. Burza się już zrywała, gdy nadbiegł, oznajmiając co go spotkało.

Zaledwie kilka słów mogli do siebie przemówić, gdy wichur szalony zatrząsł drzewami — i pioruny bić zaczęły jedne po drugich. St. Aubin obawiała się grzmotów i, dawszy ledwie przemówić Erazmowi, napowrót ku Łopatyczom biegła już, co chwila ze strachem przypadając ku ziemi. Niezważając na niebezpieczeństwo spotkania się z kim na drodze, Hojski towarzyszył uchodzącym, niemal do skrajn lasu, pod sam dwór Łopatycki, z kąd się cofnąć musiał, zobaczywszy dworskich, których wysłano na spotkanie panienki.

Wciągu tej acieczki przed burzą, Leonilla miała czas pocieszającemi słowy uspokoić Erazma. — Nie liczyli się już z wyrazami; nie skąpiono mu spojrzeń, nie wrywano ręki, a Francuzka ani patrzała na wychowanicę, bo ją pioruny oslepiły.

Już ludzie dworscy nadechodzili, gdy, ścisnąwszy sobie raz jeszcze ręce, spojrzawszy ku sobie łzawymi oczyma — rozstali się szepejąc: — Do zgonu! — Na wieki!

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIENCE I KWIATY

Rysy charakterystyczne z przeszłości

przez

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Rozmarny.

Mówi o rozmarnynie jako o dziewczym kwiecie piosenka miłosna z XVI stulecia ¹⁾:

„Nowe z mego ogródeczka,
Niosę swej pannie ziółeczka:
Kwiateczki dzisiaj zerwane,
A od słońca wychowane.
Mam w koszyku rozmarnyn
Dla uciесnej Katarzyny.“

Wyliczone powyżej kwiaty i rośliny są wyłącznie przywiązane do obrzędów weselnych u ludu naszego. Weszły one i do dworów ziemiańskich, albowiem im głębiej wpatrujemy się w przeszłość badając ją starannie, widzimy coraz mniej różnicy w zwyczajach i obrzędach wiejskich, tak u ludu wioskowego jak i po dworach szlacheckich. Zbliżenie się braterskie wynikało z jedności wyznania, z życia ziemiańskiego, przy pracy wspólnej rolniczej; a kościół święty to zjednoczenie silnemi spajał ogniwy. Pan dworu z rodziną swoją w tej samej świątyni Pańskiej modlił się, gdzie gromada wiejska, społeczeństwo wznosiła serdeczne westchnienia do Boga; razem z tą gromadą śpiewał na zgodną nutę pieśni pobożne; łącznie szedł w uroczystej processyi. Ten sam pleban chrzczył dzieci chłopskie, co i szlacheckie, zarówno dysponował na śmierć i opatrywał świętymi Sakramentami; na jednym cmentarzu przykościelnym grzebano zwłoki pana i chłopka, a różnicę całą stanowił tylko okazalszy nagrobek pierwszego, gdy drugiego miejsce wiecznego spoczynku oznaczone było jedynie przez skromny, prosty krzyż drewniany.

W szczegółach obrzędu weselnego, zachowywano też same zwyczaje, i kwiaty wspomniane przez nas wyżej, hodowano w wirydarzach ²⁾ dworskich, jak równie troskliwie pielęgnowano po ogródkach warzywnych, przy chatach słomą pokrytych.

Rozmarnyn najstaranniej pielęgnowano w donicz-

1) *Koło tańca wesolego*, Kraków, 1547 r.; wyd. drugie 1632 r.

2) Tak zwano w sadach ogródki wyłącznie kwiatowe.

kach, w każdym go też dworze i chacie widać było na oknach; albowiem gdy innych kwiatów zabrakło, rozmaryn musiał służyć do wieńca panny młodej, jakoteż zdobić piersi pana młodego, druchem i družbów weselnych. Nie tracił on przez długi czas swojego znaczenia w tym obrzędzie, zarówno po wsiach jak i po miastach. Zmienia się dziś jednak zwyczaj i rozmaryn zastępują już w domach szlacheckich przez mirtę i kwiat pomarańczowy.

G r o c h.

W pewnej łączności z kwiatami weselnymi, zostaje groch, tak pospolita roślina, która w czasie, gdy kartofle znane nie były, stanowiła najgłówniejszą a pożywną strawę dla ludu, chroniącą go od głodu na przednówku, na wszystkich obszarach dawnej Rzeczypospolitej. Zostaje w łączności, powtarzamy, używano bowiem grochu, jako wymownej odpowiedzi natarczywemu zalotnikowi, że starania jego o rękę panny pożądanego skutku nie otrzymają. Wieniec z suchych grochówin, podrzucony do jego sypialni, zawieszony na kłamece, przyczepiony do jego kolasy lub do siodła, stanowił wyraźną odprawę. Nie miał już po co zaglądać do domu tej, która była celem gorących afektów rozmiłowanego serca. Zwyczaj ten, trwający do końca panowania Stanisława Augusta w całej Polsce, dłużej jeszcze na Litwie, dał początek przysłowiu:

„Dostał wieniec grochowy.“

dla dosadnego wyrażenia, że ktoś w życzeniach swoich odsadzony został, według wyrażenia ludowego: „Jak kot od mleka.“

Jeżeli zawierzmy Krzysztofowi Falibogowskiemu, pisarzowi z czasów Zygmunta III-go, groch w tym okresie był osobliwością u nas.

„Pamiętam (pisze on) tę przypowieść, że groch *aksamitem* zwano, bo takowejże ceny był groch co i aksamit, po złotych dwa; a nie był tak pospolita potrawą aksamit jako dziś. Onych czasów jedno to w domach senatorskich, ledwo się zeszło mieć szatę aksamitną; albo musiał być urzędnikiem koronnym, albo dobrze mającym szlachcicem. A kiedy miał szatę aksamitną, a miał kilka córek, wszystkie o jednej szacie za mąż wydał, którą jako świętość do tak zacnego aktu chowano, a posagi grzywnami liczono“¹⁾.

Porównanie to aksamitu z grochem okazuje wielką tego ostatniego cenę: że jednak był znany i używany na potrawę, stawia dowód dawniejszy od Falibogowskiego Rej z Nagłowic, gdy porównywa skąpeca z hojnym:

„Skąpiec, jest jako na skale jagody;
Ludziom nic po nich, jeno wronom gody;
A hojny zasię jako groch przy drodze:
Kto się nie leni, ten go idąc głodzie.“

I dalej:

„Gdy groch oskubią, grochówny depcą;
Takżeć o hojnym, gdy nie ma nic—szepcą.“

Taniał on w następnych czasach i pospoliciał, kiedy go ziemianie nasi, nie tylko w ogródkach, ale w polach zasiewali. Zwyczaj kazał, że groch zwykle przy drogach²⁾ zasiewano, z kąd powstało stare przysłowie:

„Mam się jak groch przy drodze.“
gdy kto się uskarża, że doznaje ciągłych krzywd lub nieprzyjemności od drugich.

Jeżowski w rękopiśmie 1634 roku tłómacząc, ten zwyczaj, pisze:

„Zwyczaj siania grochu przy drodze, ażaj małym jest znakiem gościnności i hojności staropolskiej? Oddawna, jakom zamłodu słyszał, zachowuję, by przechodzący mógł się z daru Bożego pożywić, a tak nie jeden głodny nakarmi żołądek, dziękując za on chwalebny zwyczaj, a wspominając owo dawne przysłowie: „Kogo Pan Bóg stworzy, tego nie umorzy.“

Marcin z Urzędowa, lekarz i botanik z czasów

króla Zygmunta I, pisze w swoim *Herbarzu ziół*, że za jego dni poczęto siał dopiero w Polsce groch włoski. To wyjaśnia, o jakim grochu nadmieniał Falibogowski, tenże sam bowiem Marcin z Urzędowa wspomina, że wiele oddawna Mazury sięją po polach grochu.

Groch mieszany z kapustą, był zdawna ulubioną Wielkopolanów potrawą. Mazury, niemogąc do niej nawyknąć, utworzyli wyszydające ztąd przysłowie:

„Pomieszać jak groch z kapustą.“
okazując tem nieporządek, brak smaku i ładu, mieszanie niedorzeczną rzeczą lub myśli. Przecież i u nich popłaca zupa grochowa z wędliną, zwana jednym wyrazem *grochówką*; a groch musi być na każdym weselu u Mazurów, jako uprzywilejowana i konieczna potrawa.

Kiedy ją stawiają na stole, śpiewają pieśń następną na powitanie grochu:

„Ej! o rosie, o rosie,
Siano cię po rosie,
Przy dole, przy dolinie,
Przy Matuleńce Bożej.
Ej, o rosie, o rosie,
Wleczono cię po rosie,
Młócono cię po rosie,
Przy dole, przy dolinie,
Przy Matuleńce Bożej,
Warzono cię po rosie,
Jedzono cię po rosie,
Przy dole, przy dolinie,
Przy Matuleńce Bożej.“

Nigdzie w całej Polsce więcej nie siano grochu niż na starym Mazowszu; ziemia, nieurodzajna dla pszenicy, darzyła zawsze hojnym jego plonem.

M a k.

Mak, oddawna był znany i używany w całej Polsce. Ulubione były, jako przysmak, kluski z makiem, pierogi z makiem i miodem. Wyciskano z niego wyborowy olej, którego dużo używano w czasie postów, tak ściśle przez naszych przodków zachowywanych.

O maku mamy przysłowia z XVI wieku.

Tak dla oznaczenia licznej rodziny: „Ledwoby się korcem maku powinowactwa dorachował.“

Albo chcąc ciszej panującą dosadnie wyrazić: „By makiem zasiał.“

Że niema potrzeby próżnej podejmować pracy: „Nie trzeba maku siekać.“

Mak kwitnący czy ogrodowy, czy dziki, lud nasz, używa do wicia wianków, wraz z innymi ziołami i kwieciami. Włóścianie sięją go niemało po swoich ogródkach, pomiędzy innem warzywem.

Zajęczego maczku, za czasów Marcina z Urzędowa, wienieczarki (jak zowie on kobiety sprzedające wianki) używały na wieniec i sprzedawały w Krakowie. Wedle podania ludowego z XVI i XVII wieku, czarownice używały maku. Wzywając bowiem na pomoc dyabła, obsypywały się makiem wokoło, lub liczyły proso¹⁾. Czas, kiedy mak kwitnie, na Rusi Czerwonej uważają za złejszy do dostania chleba, niż kiedy bób rozkwita; ztąd ludowe przysłowie: „Kiedy kwitnie bób, wtedy ciężko o chleb— a kiedy mak to nie tak (Koły ćwite bib, tohdy tiazk'o chlib,—a jak mak, to nie tak).“

C h m i e l.

Roślina, u nas dziko rosnąca, używana do najdawniejszego a ulubionego powszechnie trunku, jakim jest piwo, chmiel, ztąd znalazł wiele wspomnień w pieśniach ludu polskiego—a wszystkie te pieśni należą do obrzędów weselnych. Że piwo na każdym weselu być musi, dlatego niepróżno jedna mazurska piosenka mówi:

„Oj! chmielu! chmielu! ty bujne ziele,
Przez cię nie będzie żadne wesele.“

Pieśni te o chmielu, zwane zwyczajnie jednym wyrazem: *chmiel*, są śpiewane przy oczepinach, albo też zaraz po nich. Mieszczanie i szlachta zagonowa, przyjęli te pieśni od ludu i przyswoili sobie z tą odmianą, że śpiewywane zwykle na końcu wesela, nazywano: *tańcem poduszkowym*. Melodya do tych pieśni, jest oddzielną, im właściwą, upowszechnioną w całym kraju i ulubioną, bo jej nuta znajoma pobudza lud nasz do wesołości ochoczej.

W pieśniach tych chmielowi przypisują winę, że dziewczętkom wianek odbiera, a każdy przyspieszek, zwykle się kończy:

„Oj! chmielu, oj! nieboże,
Niech ci Pan Bóg dopomoże,
To na dół, to ku górze,
Chmielu nieboże!“

W Krakowskiem, w okolicach miasta Jędrzejowa, śpiewają pieśń odmienną, w której kształt chmielu opisany:

„Czyś ty chmielu, nie miał matki,
Coś ty urosł tak niegładki.
Czyś ty chmielu, nie miał ojca,
Coś ty urosł gdyby *chojca* 1).
Czyś ty chmielu nie miał siostry,
Coś ty urosł taki ostry.
Czyś ty chmielu nie miał brata,
Coś ty urosł za trzy lata?“

Ma lud także liczne przysłowia o chmielu:

„Dobrze chmielowi, gdy się tyki trzyma;— gdy mowa o takim, co ma krewnych przychylnych sobie, lub pewnego przyjaciela, co w każdej chwili z pomocą przyjdzie.

„Kręć się jak chmiel po tytce.“

„Chmiel w głowie“—gdy kto pijany.

Przy obchodzie weselnym był zwyczaj u nas w XVI stuleciu, że państwa młodych obsypywano chmielem. W tym wieku chmiel sądeckie miały wielką sławę. Włóścianie dawniej po wielu miejscach składali daninę z chmielu.

Sławnego Bohdana Chmielnickiego Polacy przez skrócenie nazywali „Chmielem“, ztąd liczne do niego zastosowania czytać możemy w pisarzach naszych z XVII wieku.

Owoż cały podaliśmy szereg kwiatów i roślin, mających łączność z obchodem weselnym, przy którym śpiewane pieśni, stanowią jakby jeden ciągły poemat, według którego każdy szczegółowo obrzęd się odprawia i rozwija. Obchód bowiem ten, tak ważny w życiu każdego, czy to młodego parobczaka, czy krasnej dziewoi, jest najważniejszą i pełną uroczystą powagą chwilą. Z tego powodu, że świętem poszanowaniem, wszystkie jego szczegóły zostały troskliwie przechowane. Dlatego możemy z pewnością utrzymywać, że obchody weselne, w swoich zwyczajach drobnych nawet, są temiz samymi, jakie zachowywano w pierwotnych wiekach chrześcijaństwa, kiedy jeszcze wyraźne ślady czasów pogańskich lud na sobie nosił. Zmiany tylko zaszły w obrzędach kościelnych; chrześcijaństwo piętno swoje musiało wycisnąć na wyobraźni i pieśniach ludu: więc znikły w nich wspomnienia bożyszcz dawniej czczonych, jak *Lelum Polelum* i innych, a zajęły ich miejsca święte imiona Zbawiciela i Bogarodzicy.

Wspomnimy jeszcze o tych kwiatkach i roślinach, które w wyobraźni ludowej należą do niezbędnych w powszednim życiu, albo też do roślin czaro-dziejskich.

M a c i e r z a n k a.

Wieniec z macierzanki, wite na *Boże Ciało*, poświęcane po kościołach, zachowuje lud nasz przez rok cały. W czasie chorób na bydło, lub na ludzi, używa do leczenia napoju, gotowanego z tych wianków.

W czasie wielkiej burzy i piorunów, dla ocalenia chaty od pożaru domu, każdą niemi wszystkie

1) *Discours marnotrawstwa i zbytku korony polskiej*, przez Krzysztofa Falibogowskiego; Kraków, 1625 r.

1) *Sejm białogłowski*; Kraków, 1684 r.

1) Jak sosna wysmukły.

ściany domowstwa, śpiewając pieśni nabożne i odmawiając modlitwy.

Wicie wieńców z macierzanki, najdawniejsze pieśni polskie poświadczają. Tak się jedna ze starożytnych *Dum* krakowskich zaczyna:

„Pod Krakowem czarna rola
Tam chodziły Krakowianki,
Wiły wianki, z macierzanki,
Przyszedł do nich wojewoda“.

Podobnie jak wianek ruciany tak i wianek z macierzanki w pieśniach ludowych jest godłem panieństwa.

Bylica.

Do najstarożytniejszego obchodu palenia Sobótek w wigilię Ś-go Jana—należy *Bylica*. Z niej robiono wieńce, opasywano się niemi i skakano przez gorejące stopy.

Marcin z Urzędowa z czasów Zygmunta I mówiąc o Sobócie, pisze w swoim *Herbarzu*:

— „Tego obyczaju pogańskiego do tych czasów w Polsce nie chcą opuszczać niewiasty, bo także to ofiarowanie tego ziela czynią, wieszając na sobie, opasując się niemi“.

Jan Kochanowski, który nieraz w swoim *Czarnolesiu* sobótki palił, szanując stary obyczaj, poświęcił im obszerniejszy poemat, wiele strofek biorąc z ust ludu, wspomina też o bylicy:

Gdy słońce silniej zagrzewa,
A słowik więcej nie śpiewa,
Sobótkę, jako czas niesie,
Zapalono w *Czarnym lesie*.
Tam goście, tam i domowi
Sypali się ku ogniowi“.

Trzech dudarzy zaczęło przygrywać według starożytnego obyczaju i sześć par dziewcząt wiejskich, jednak ubranych stanęło wokoło ogniska, a każda była przepasana *bylicą*, i wianki z tego ziela głowy ich stroili.

Chórem zaczęły śpiew, przywiązany do tego obrzędu, tańcząc na przemiany.

Wielki poeta, siedząc na murawie z rodziną swą, gośćmi i domownikami, rad się przysłuchiwał śpiewom, rad patrzył na ochocze tańce młodych dziewcząt i krótką całą noc przebawił przy ognisku sobótkowem.

Po wsiach na *Rusi Czerwonej* pałac *Sobótki* parobczaki i dziewoje zdobią sobie głowy w wieńce z *Bylicy* i *Macierzanki*, parami skaczą przez stopy rozpalone, wróżąc, że jeżeli w tym skoku ręce się ich nie rozdziela, biorą to na dobry znak i rokuja sobie wzajemne małżeństwo; w przeciwnym razie, nie dzieląc dalszej zabawy, wracają smutni do domu, pewni niedoli i przyszłego rozłączenia.

Wiejskie kobiety, które prawdziwego znaczenia używania *bylicy* nie znają, utrzymują, że dla tego się *bylicą* przepasują, ażeby się od cierpień uchronić. W XVI wieku używano u nas *bylicy* na ból głowy: skrapiano ją odwarem z tego ziela.

W okolicach Radomia zachowało się dawne podanie, że łopianu i *bylicy* użyła Najśw. Marya Panna, aby odejęta głowa Świętego Jana napowrót się zrosła.

(Dokończenie nastąpi)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Spuścizna po hr. Al. Fredro ojcu — „*Jam zabójcą*“ — fraszka w 1 akcie, — przedstawiona na scenie Teatru Rozmaitości d. 19 Marca r. b.

Najsprawiedliwsi i najszczerzy czciciele twórcy tytułu arcydzieł, które stanowiły i stanowią zaszczyt polskiej sceny od lat kilkudziesięciu, — nie wiedząc co począć, nie wiedząc jak sobie wytłumaczyć niefortunną spuściznę.

Kuratorowie czy egzekutorowie literacy tej spu-

ścizny, po licznych a głośnych naradach, rozdzielili ją na lat kilka, z zamiarem wyrażenia obmyślanym, udzielania w jaknajdrobniejszych porcjach tych przysmaków, na które cały ogół publiczności polskiej czekał przez lat czterdzieści przeszło, nadaremnie.

Zaiste — z prawdziwym smutkiem powiedzieć trzeba, że szkoda, iż nie czekaliśmy dłużej jeszcze, szkoda, żeśmy się ich zgoda doczekali. Jeszcze z „Wielkim człowiekiem do małych interesów“ można było wierzyć w nieodrodnosć dzieł pośmiertnych, od tytułu komedij Fredry wielkich, pięknych i sławnych. Byli wprawdzie tacy, którzy ciągle mieli przed oczyma „Śluby panieńskie“ i „Dożywocie“ lub „Zemstę“, więc patrząc w nie jak w zwierciadło, gniewali się gdy ten „Wielki człowiek“ nie odpowiadał tamtym ani treścią, ani miarą wysoce artystyczną, ani komizmem wiecznie trwałym, bo ogólnie-ludzkim, ani szczegółami pełnymi znajomości życia, delikatności rysunku i najwykwintniejszej precyzji; — ale inni umiarkowani i wiedzący o tem, że najgenialniejszy twórca nie tworzy samych wyłącznie tylko arcydzieł, zgodzili się na humor, wesołość bezpretensjonalną i kilka wybornych sytuacji tego utworu, zostawiając mu pokazne miejsce w rzędzie komedij polskich. I dziwna rzecz, publiczność bawiła się wybornie na „Wielkim człowieku“, a swoją drogą krytykowała zawzięcie, nazywając to fraszką, pozbawioną prawdy życia i prawdy charakterów. Co do tego — pesymizm przegryzający dzisiaj sądy najdobroduszejszych ludzi — główną był tego przyczyną.

Przedstawiona później „Świeczka zgasła“ zwiększyła szeregi niezadowolonych, uprawniając pesymizm — „Z kim się wdajesz, takim się sam stajesz“, doprowadziła do wrzasku oponujących, mających teraz rzeczywiście słusność za sobą, chociaż chciałoby się im jej trochę zaprzeczyć przy „Dwóch bliźnach“, w których humor Fredrowski tryska czasem z całą zamaszystością i rzutkością dawnego mistrza.

Bądźco bądź jednak, wrażenie płynące z ogółu tych kilku utworów, było i jest tak niekorzystne dla sławy Fredrowskiej, że mimowoli uczuwa się wyrzut względem komisji egzekucyjnej, niemającej dosyć odwagi czy znanstwa literackiego, ażeby rzeczy te — przez cześć dla wielkiego komedyopisarza — od przedstawień odsądzić. Wierzmy mocno, że komisya, do której wchodziłi niektórzy istotni znawcy, nie uczyniła tego, jedynie przez wielkie poszanowanie dla znakomitego komedyopisarza, a może też mimowoli uległa urokowi sławy i dlatego nie odróżniła złego w odrobienie dobrego, lichej bryły kruszcu zmieszanej z ziarnkami brylantów; lecz już po przedstawieniu pierwszej seryi w pierwszym roku, — należało jej wyrok swój ścieśnić, ograniczyć i liczbę sztuk godnych przedstawienia zmniejszyć.

Krytyka krakowska nawet — a lwowska rozumie się samo przez się — gwałtownie napadła na te utwory, wyrażając się bez ceremonii, że one ubliżają wielkiej sławie zgasłego niedawno komedyopisarza, i tym razem, publiczność — co przecież rzadko się zdarza w dziejach sztuk wystawionych na polskich scenach — przywróciła krytyce.

Jeżeli jednak kiedykolwiek słusność miała i krytyka i publiczność, to przy komedii czy krotcechwili p. t. „*Jam zabójcą*“ przedstawionej i na warszawskiej scenie Rozmaitości.

Trudno, niepodobna uwierzyć, iżby taka *ramota* wyjść mogła z pod pióra genialnego pisarza. Gdybyż to jeszcze był płód pierwszej młodości — lub gdyby rzec tu można: *Quandoque bonus dormitat Homerus*, ale ma to być owoc dojrzałych lat, a całość od początku do końca, jest fraszką o pomyśle wprost już niekarykaturalnym, a mimo-to śmiesznym na sposób fars francuzkich, — nie dziwnym choć zręcznym, — lecz wprost dziecinnym i takim, któremu by i na amatorskiej scenie uwierzyć nie chciało.

Pan Kokoszkiewicz 70-letni stary kawaler, jest opiekunem Klareci, powierzonej sobie przez zmarłego przyjaciela, który najdziwniejszą postawił klauzulę, a mianowicie, że jeżeli córka jego nie pójdzie za mąż w oznaczonym wieku, posag jej przypaść ma opiekunowi. Naturalnie, że pedogryczny Kokosznicki, sam dla siebie zagarnąć myśli

i Klareci i jej posag mimo oświadczeń o jej rękę niejakiego pana Marskiego. Otóż stary sługa, młoda pupilla, garderobiana i Marski, układają nań spisek. Ponieważ Kokosznickiemu kradną w ogrodzie, zatem otrzymał prawo używania broni palnej. Namawiają go też, iżby strzelił do złodzieja, który się właśnie zakradł. On strzela; trup niby pada i wmawiają w niego, że trupem tym jest Marski. Opiekun przerażony, pisze za radą jednego ze spiaskowych, list antydatowany do Marskiego, oddający mu rękę pupilli. Naturalnie Marski z tym rewersem w kieszeni a z panną przy boku — zmartwychwstaje etc. etc.

Pomysł przyzna każdy, ani nowy, ani bogaty — a figury wszystkie z wyjątkiem samego Kokosznickiego, który od drdgiej połowy sztuki (pierwsza jest arcy-arcy nudna), staje się zajmującym a czasami nawet po Fredrowsku komicznym, blade, bezkrwiste, bez iskry życia, prawdy lub humoru.

Tak, rzekliśmy, od połowy sztuki dopiero, Kokosznicki, — który w strachu wyłazi z całym swoim egoizmem, a później w obawie wyrzutów sumienia, iż zabił człowieka, chociaż nienaumyślnie, wstrząsa się straszliwie, — staje się postacią, jeżeli nie wziętą z życia, bo zbyt karykaturalną, to przynajmniej możliwą w granicach komedii, zwłaszcza tej dawnej, która zadawała się śmiechem, niebadając zbyt ściśle o jego przyczynę.

Kto chce koniecznie dopatrywać czegoś więcej w tej fraszce, dlatego, że ją od niechęci napisał wielki Fredro, ten rzeczy nie obroni a jemu przysługi nie odda, jemu, który wreszcie dla swej sławy tych usług nie potrzebuje.

Najlepszym dowodem słabości tej fraszki, jest to że gdyby owego „zabójcę“ (Kokosznickiego) nie grał tak znakomity artysta jak Żółkowski, upadłaby od pierwszego razu, a tak — żyć będzie tak długo, jak długo grana będzie przez jednego tego dzisiaj mistrza, na polu wykonawstwa wysokiego komizmu.

Żółkowski jest twórcą, uniejącym z najdrobniejszego szczegółu zrobić rzecz ważną, czyli ściśle do charakteru należącą; a swoją drogą wszystko to, co polega na wyrazie cudownie-ruchliwej fizyognomii, na ruchu tak zawsze użytym w miejscu stosownem, że przedtem nikomu ani-by w myśl nie przyszło, na intonacji głosu, na płaczu czy śmiechu, radości czy przerażeniu (bo wszystkie te objawy widzieliśmy w tej drobnej roli), wykonane jest z doskonałą miarą, z siłą wyrazistości i z artyzmem, nad którym młodsza generacja głęboko zastanawiać się powinna.

Żółkowski chwytając się za pedogryczną nogę sinieję, czerwienieję, wykrzywia się i to z takiego bólu, że nie jeden pedogryczny, mimowoli schwytał się również za swą nogę — a kiedy artysta ujrzał przed sobą — zmartwychwstałego, jak mu się zdawało, Marskiego, krzyk jego, przerażenie, są tak wysoko naturalne, a dla tego właśnie wysoko komiczne, że już wybuchów śmiechu całej bez wyjątku publiczności nie powstrzymać-by nie zdołało. Cześć takiemu artyście!

Pan Chomiński dobrze wtórował w niewielkiej swej komicznej rolce lokaja Filipa.

E. Lubowski.

KORRESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Kraków 15 Marca 1878 r.

Echa karnawałowe. — Nowożytni Orfeusze i kobiety. — Teatra amatorskie. — Wiadomości z teatru publicznego. — Nowa komedya: *Po śmierci cioci*. — Literatura: *Długosz*, *Lilla Wenda* po francuzku i *Zwierciadło głupstwa*. — Pisma peryodyczne. — Ostatnie prelekyce publiczne i słówko o niektórych stowarzyszeniach.

Zapewne na wstępie zapytują mnie czytelniczki *Bluszczu*: jak też karnawał przeszedł w Krakowie? Ot, zdaje mi się, że tak jak gdzieindziej. Z początku był bardzo ociężały, bo każdemu ze względu na jego niezwykłą długość zdawało się, że się nigdy nie skończy; później, w chwili właśnie przejściowej, niespodzianie przypadła ogólna żaloba po śmierci papieża, która zwłaszcza zabawy publiczne

całkiem zatamowała; dopiero sam koniec karnawału ożywił się i miał wynagrodzić wszystko. Po-kończyły się nabożeństwa żałobne po kościołach, zdjęto czarne flagi powiewające przez ten czas na wieży Maryackiej, a nawet w Rzymie, prędzej niż się spodziewano, rozległ się głos: *habemus papam!*

Na tę wiadomość miasto nasze zajaśniało, wprawdzie częściową tylko, illuminacją, i jakby ucieszone, że ma powód niezaprzeczonej do radości i zabawy, z podwojonym zapałem zabrało się do użytkowania pozostającej jeszcze reszty karnawału.

Nawet parę zabaw prywatnych, co u nas rzadko się zdarza, zdobyło sobie pewien rozgłos, głównie jednak miały powodzenie i wziętość bale publiczne na cele dobroczynne, tradycyjnie z roku na rok przechodzące. Bal tak zwany akademicki, bo na korzyść Towarzystwa wzajemnej pomocy uczniów uniwersytetu, utrzymał się i teraz przy dawnej swojej sławie, podobnie jak, mający nieco świeższą tradycję, bal na korzyść szpitala dla dzieci, urządzany przez protektorkę tego zakładu ks. Marcellinę Czarotowską. W tym roku próbowano nadto pewnej nowości na tem polu, i bal medyczny, dany na jego nieszczęście w owej ociążalszej porze karnawału, miał być balem kostiumowym. Może właśnie dlatego, dla trudności i kosztów z kostiumami połączonych, zawiódł oczekiwania, a choć przyniósł wcale znaczny dochód (co podobno rzecz najważniejsza), zgromadził jednak bardzo małą liczbę gości, nie tylko w maskach, lecz i bez masek.

Tu przypominam sobie o przedmiocie mającym podwójny związek z życiem karnawałowym. Może być, że jest to maleńki skandalik, miejska ploteczka; ale fakt ten ma zarazem pewne znaczenie moralne i publiczne w obrazie naszych społecznych stosunków. Dobrze jeszcze, bo na kilka miesięcy, przed karnawałem pojawiły się na bruku miejskim wiersze, jedne w formie litanii, drugie w formie zagadek, ale pisane na wspólny temat, bo wyprawdzające na scenę prawie wszystkie bardziej znane osobistości tutejszego kobiecego świata. Litanie była daleko niewinniejszą, ale za to zagadki nie krępowały się niczem i z całą złośliwością, a niewybrednym wcale smakiem, rzuciły się na ośmieszenie lub oczernienie wielu kobiet. Złośliwość zwykle popłaca, bo pustych głów zawsze więcej na świecie; jedni przez płocho ciekawość, drudzy z gorszych pobudek poszukiwali tych brukowych pismideł, przepisywali je i tym sposobem ta brudna literatura rozlała się po całym mieście. Szczególnie w czasie karnawałowym, sprzyjającym najbardziej podobnym rzeczom, wiersze te stały się głośnie i znanymi. Z drugiej strony rosło powszechne oburzenie i gniewy na nieznanych autorów; pisma publiczne wypowiadały swoje zgorznie i występowały z potępieniem, a niejedni także myślał o jakiejś satysfakcji i zemście. Zapewne autorowie przestraszali się teraz na dobre, skoro tak groźne następstwa ujrżeli, i osłoniли się jaknajgłębszą tajemnicą. Może jednak było to już trochę zapóźno, albo, ponieważ według przysłowia, oliwa zawsze na wierzch wyjść musi, więc i to w końcu wydać się musiało. Przynajmniej słyhać było o tem po mieście, że się wydało; słyhać było także i to, że obrażona płeć piękna zrobiła sobie pewną satysfakcję i zemściła się na winowajcach w sposób, należy przyznać, bardzo szczęśliwy i taktowny. *Si fabula vera*, autorowie tych nieszczęsnych wierszydeł mieli na jednym wieczorze, kiedy inni przy katylnie otrzymywali order, dostać na swoje głowy olbrzymie wieńce laurowe, w nagrodę zasług i zdolności poetyckich. Była też to może jedyna zemsta, jaką strona zagniewana mogła wyrzucić bez zaszkodzenia sobie, a nowożytni Orfeuszowie daleko łaskawiej zostali ukarani niż się to działo niegdyś.

Teatra amatorskie, naturalnie na cele dobroczynne, w tym roku weszły u nas jakoś w zwyczaj. W ciągu zimy mieliśmy dwa podobne przedstawienia, głównie staraniem tutejszej młodzieży urządzone, a w tych dniach znowu trzecie. To ostatnie wyszło już z innego koła, a dane było na korzyść zakładu opuszczonych chłopców, jednej z najużyteczniejszych instytucyj w naszym mieście, założonej niegdyś staraniem, dziś już nieżyjącej, pani Michałowskiej, i utrzymywanej od lat przeszło dwudziestu z prywatnej jedynie dobroczynności.

Przedstawienie, bardzo urozmaicone, składało się ze śpiewu utalentowanej amatorki, z żywego obrazu, w którym przedstawiono *Wieczornice* na Rusi i wreszcie z dwóch sztuczek, umyślnie na ten cel napisanych, przez księcia R. p. t. *Jak trudno dobrać pary i żeby się te ciocie nie wtrącały!* Tarcza nieetykalności osłania zawsze utwory pisane, pociski sztuki a tembardziej dla amatorów pisane, pociski Zoilowe nie mogą przeto w nie godzić, a z tego powodu i korespondentowi waszemu nie pozostaje nic innego, jeno, jak się to dzisiaj mówi dyplomatycznym językiem, skonstatować fakt, że tym, którzy tych sztuczek słuchali, podobały się one zupełnie i pobudzały ich do śmiechu i do oklasków.

Wielka szkoda, że rzeczywistemu, urzędowemu teatrowi nie wiedzie się u nas w dzisiejszych czasach tak dobrze, jak amatorskim. W ciągu tej zimy publiczność dziwnie dla niego zubożała, najpewniej zapewne z przyczyny ciężkich czasów, a potem i z innych może przyczyn. Naprawdę dyrektor teatru poruszał tę sprawę w pismach publicznych, nawiązując publiczność do zastanowienia się, co robi i do czego to może doprowadzić. Rzeczy zaśły tak głęboko, że zaczęto na seryo już o tem mówić, iż p. Koźmian, zniechęcony, porzuci dyrekturę i teatr na pastwę losu zostawi — równocześnie także objął się już o nasze uszy nazwiska tych, co po obecnym dyrektorze ten niewdzięczny obowiązek na swoje barki brać chcieli. Mówiono mianowicie p. Anczyca i Rychterze, obu, bez kwestyi, posiadających do tego wszelkie kwalifikacje. Do takiej karyzys ostatecznie jednak nie przyszło, i skończył się na tem, że ze szczupłego itak osobozbioru dramatycznego ubył jeszcze parę jednostek, a operetka, która przez kilka już lat rozweselała nas Offenbachem i Lecoq'em w całym komplecie otrzymała dymisyę. Aby wyznać prawdę, niebardzo jej żałujemy, choć nam żal tych artystów, którzy w tych ciężkich czasach musieli iść gdzieindziej szukać sobie chleba, z małą, bezwątpienia, pewnością w duszy, czy go znaleźć potrafią. Podobno udał się w wasze strony, do Lublina, czy też do Kielc — może tam będą szczęśliwsi.

Tak, jest, nie wiedzę się naszemu teatrowi. Niedawno byliśmy prawie pewni, że będzie dla niego nowy gmach wystawiony. Ogłoszono niemal urzędowo, że stary budynek jest do niczego, że się niedługo zwali, że więc nowego i lepszego koniecznie potrzeba. Postawiony już był w tym przedmiocie wniosek na radzie miejskiej, który otrzymał jednogodne podpisy wszystkich radców; wynaleziono już miejsce pol przyszły teatr; a co najważniejsza, obmyślano fundusz na jego wystawienie — i na raz jeden musieliśmy przyjść do przekonania, że z tego wszystkiego nic nie będzie. Wszystkie piękne marzenia rozprysły się jak bańka mydlana wobec dziesięciu prezydenta miasta, że za fundusze przeznaczone z pożyczki miejskiej na wodociągi nie innego, a zatem i nowego teatru, nie można stawiać tylko wodociągów. O nowym gmachu teatralnym, tak potrzebnym, tak koniecznym, niema nic ani co myśleć — odłożony on został *ad Kalendas graecas*. Na najbliższym zaś planie, z publicznych przedsięwzięć, postawione są obecnie wodociągi, których robota ma się zacząć w roku przyszłym, a w roku 1880 być ukończoną. *Qui vivra verra* — lecz podobno i w tej sprawie jest dużo wątpliwości i trudności.

Wracając jeszcze na chwilę do teatru, musimy wyznać, że bieżąca doba wcale do najświetniejszych liczyć się nie może. Przy apatyj publiczności, zniechęceniu dyrektora i tak szczupłej liczbie aktorów, nie można było myśleć o dobrowym repertuarze. Ze sztuk granych ostatnimi czasy może też tylko jedna nowa komedia w 3 aktach p. Bałuckiego: *Po śmierci cioci*, zwróciła na siebie uwagę. Sztuka ta, napisana jest gładko, z doświadczeniem scenicznym i bardziej, że tak powiem, elegancko niż poprzednie utwory tego autora; niema w niej ani naciąganych efektów, ani najniwinniejszych nawet dwuznaczników. Pod innymi względami jednakże do lepszych prac p. Bałuckiego liczyć się pewnie nie będzie. Brak jej dawnej jego werwy i silnej charakterystyki. Ze wszystkich figur jeden tylko ojciec jest komicznym, chociaż widać w nim reminiscencje z poprzednich komedij p. Bałuckiego, a obok niego, jako postać wybitniejszą, można

by jeszcze postawić pannę Sabinę. Wszystkie inne są albo blade, albo tak nienaturalne i karykaturalne, jak ów niesmaczny poeta, będący nadto w dzisiejszych czasach grubym anachronizmem. Jestto indywiduum podobne do bohatera w *Palszywych blaskach*, tylko o sto procent jeszcze nikczemniejsze i.... jakby tu delikatnie powiedzieć — naiwniejsze. W naszej epoce takie figury należą już chyba do rzadkich bardzo wyjątków, a poeci z długimi włosami, z pustą kieszenią i piersią a patetyczną deklamacją w ustach, byliby dziś egzemplarzami wcale niepopłatnymi, bo każdy na nich — by się poznał. Niebezpiecznie zatem jest i szkodliwie dla sztuki uogólniać wady, które już dawno przestały być chorobą epidemiczną.

Wyszło u nas w ostatnich czasach kilka ważniejszych książek, o których zamileć-by się nie godziło. A najprzód, bo „z wieku mu i urzędu ten zaszczyt należy“ otrzymaliśmy już piątą tom *Kroniki Długosza* woryginalne, doprowadzający to dzieło do samego końca. Z ogólnego zbioru dzieł Długosza jestto tom czternasty, a do całości brakuje jeszcze tomu pierwszego, mającego objąć niektóre pomniejsze pisma naszego historyka, tudzież indexu alfabetycznego nazwisk i rzeczy we wszystkich tomach zawartych, który ma sporządzić sędziwy uczony, dr T. Żebrowski. Tak więc pomimo śmierci wydawcy, Al. hr. Przeździeckiego, przedsięwzięcie jego, tak chwalebne i pożyteczne, nie doznało szwanku, i niezadługo w zupełności do skutku zostanie bezwątpienia doprowadzonym.

Z równą pociechą braliśmy także do ręki książkę innego wcale rodzaju: *Lille Wenede*, Słowackiego, w przekładzie francuzkim pana Mien. Co za wspaniałe, przepyszne wydanie, jakiego się Słowacki woryginalne nigdy dotąd nie doczekał, — nie mówiąc już o tem moralnem zadowoleniu na myśl, że cudzoziemcy poznają znów jedno dzieło więcej jednego z naszych największych poetów, i to w tłumaczeniu tak wdzięcznem, tak poprawnem i z całą miłością dla autora dokonane! Piękna ta książka została wydrukowaną w jednym z tutejszych zakładów typograficznych, ale nakładem księgarni paryskiej Sandoz et Fischbacher i stanowić ma część obszerniejszej publikacji pod nazwą „Wydawnictwo narodowe arcydzieł literatury polskiej XIX wieku“. Nie potrzebuje zapewne dodawać, że z naszej strony należy się szczerą wdzięczność tak tłumaczowi jak i nakładcy za to, tak że wszęch miar piękne i pochlebne zaprezentowanie nas zagranicą, gdzie tak często zresztą przychodzi nam się spotykać z niechęcią, umyślnem ignorowaniem i lekceważeniem.

Powieści, od niejakiego czasu zwłaszcza, rzadko się w Krakowie pojawiają, a tembardziej takie, któreby mogły zwrócić na siebie uwagę. U nas tylko Akademia drukuje swoje pisma, czasem jaki profesor swoje naukowe dzieło, a co oprócz tego wychodzi, należy wyłącznie do czysto-utylitarnej literatury. Całą belletrystykę zagarnęła Warszawa, a w niewielkiej części i Lwów. Tem szczególniejszym fenomenem jest *Zwierciadło głupstwa*, drukowane poprzednio w *Przeglądzie Polskim*, a teraz osobno wydane. Lubo i ta książka, chociaż ją autorowi tak podobno się nazwać, nie jest właściwie powieścią, w każdym razie jednak należy do belletrystyki. Jestto raczej satyra, w mnóstwie drobnych obrazków przedstawiona, których jedyną spójnią jest jedność bohatera, coś niby w guście *Gil Blas*a, z przymieszką fantastyczności i cudowności w rodzaju *Kulawego dyabła* i *Podróży Guliwera*. Autor, ukrywający się pod pseudonimem „Ignotus“ jest niezaprzeczenie rozumny i dowcipny człowiekiem, zna świat i swoje społeczeństwo, ze wszystkimi jego wadami i słabościami, uderza też na lewo i na prawo, nikomu nieprzebaczając: dostało się w jego książce i arystokracji i demokracji, lubo tej ostatniej bezwątpienia więcej. Bohaterem *Zwierciadła* jest niejaki Jan Bogorya, mizantrop, w młodym wieku zniechęcony do świata dla jego głupstwa i niedorzeczności. Gdy tak siedzi w swej pustelni zdaleka od ludzi, którymi pogardza, zjawia się przed nim pewnego razu Babel, figura alegoryczna, równająca się duchowi doświadczenia i przemawia do niego mniej więcej w tym sensie: „Czemu się dasz na świat? Wróć do niego, żyj między ludźmi — a zobaczysz, że oni robią tylko tak jak mogą, bo i ty sam w jakimkol-

RUCH MUZYCZNY.

Koncerty: — pana Horbowskiego, pani Scalchi, pana Wieniawskiego, panny Natalii Janotówny.

Post przyniósł nam kilka koncertów bardzo zajmujących, przyciągających tak dobrym programem jak i wykonaniem. Dnia 9 Marca urządził swój doroczny koncert p. Mieczysław Horbowski, który śpiewem inteligentnym i miłym, oddawna zjednał sobie sympatyę ogólną. Oprócz prawdziwie artystycznego współudziału w tym koncercie pp. Michałowski i Barcewicz, dała się nam jeszcze słyszeć tego wieczora utalentowana śpiewaczka panna Bogusławska. Głos panny Bogusławskiej dźwięczny, z nastrojem dramatycznym, umiejętne jego użycie: oto warunki, które uderzyły nas odrazu. Pewna zaś rutyna już zdobyta nie dziwiła nas, gdyż p. Bogusławska występowała przez czas jakis na scenie lwowskiej.

Inny koncert wokalny sprowadził tłumy do Reursy obywatelskiej, zdołał nawet poruszyć sferę salonową warszawską, zwykle na tego rodzaju rozrywki nader obojętną. Pani Scalchi-Lolli, śpiewaczka przejeżdżająca z Petersburga, współ ze znanym u nas artystą p. Rota, byli tym przyciągającym magnesem. Pani Scalchi przedstawiła się nam jako *mezzo-sopran* niski o bardzo pięknym głosie — którego *medium* szczególnie brzmi wybornie, nuty jednak wyższego rejestru z powodu swego nieprawidłowego wydobywania się, nie mają okągłości i są nieprzyjemne. Głos ten, lubo pełny i na pozór ciężki, podatny jest do wokalizacji i widocznie w tym kierunku artystka musiała odbyć najlepsze studia, gdyż aria z *Semiramidy* „*ah! quel giorno*“ odśpiewana była z brawurą i swobodą. Mniej zaś pani Scalchi zachwyciła nas arją Pizia z *Hugonotów*, która już wiele straciła na transpozycji o tercję niżej — jak również i w młodej piosnce Siebla: *Quando a te lieta*, gdzie nowoczesne użycie portamentów i zły smak były widoczne. Pan Rota prawdziwie artystycznie i z wielkim czuciem odśpiewał parę kawałków; szkoda że nas nie obdarzył jaką większą arją.

Niemniej licznie nawiedzony koncert p. Józefa Wieniawskiego, dał nam sposobność przepędzenia poważnie i pożytecznie wieczoru. Gra artysty, w której brakującą siłę zastępuje inteligencja i u-

miejętne frazowanie, uwydatniła nam piękności koncertu (hollenderskiego) Litolffa, dzieła, gdzie jednak fortepian nie może walczyć, o prym z przesadną cokolwiek, lubo ciekawą, instrumentacją. Pan Wieniawski grał tego wieczora pięknie, jak zwykle, tylko może programat ułożył zbyt męczący, co było już widać przy wykonaniu *Erlköniga*. Najświetniej wszakże wyszedł numer końcowy. Polonez Webera z orkiestrą, niejednokrotnie już przez p. Wieniawskiego tu wykonywany. W koncercie tym przyjęła udział pani Adela Wilgocka, utalentowana amatorka, która wykonała Piosnkę Moniuszki i arję księżniczki Eboli z *Don Carlosa*.

Panna Natalia Janotówna wystąpiła również z koncertem o programacie pełnym treści, i przy współudziale również orkiestry Teatru Wielkiego. Młoda artystka na polu swych muzycznych studiów uczyniła teraz postęp tak olbrzymi, że już dziś gra jej należy do pierwszorzędných, a w niektórych rzeczach, do wyjątkowych nawet. Pod względem mechanizmu, artystka nabrała niepospolitej pełności i siły. Rytm w tej grze jest niezmiernie wdzięcznie i stanowczo uwydatniany. Uderzenie pełne treści; frazowanie prawdziwie wzorowe, pełne spokoju i szlachetności — uwydatniły się najświetniej w koncercie *G dur* Beethovena, wykonanym tak, jak go się rzadko słyszeć może. Widoczny tu wpływ takiego pierwowzoru, jakim jest pani Schumann, wyborna Beethovena wykonawczyni; ale też widoczna, że i usposobienie młodej artystki zgodne jest z tym Beethovenowskim duchem, którym jej gra jest tak przejęta. *Karnawał* Schumanna odegrany był znakomicie — mniej szczęśliwie i tym razem wyszedł Szopen (fantazyja *a dur* z tematów polskich), a to z powodu tempa przedkich lub za jednostajnie traktowanych, bez właściwej temu mistrzowi swobody; zresztą i w akompaniamencie orkiestrowym, lubo skromnym, żałalibyśmy większego przerzynania się solowych instrumentów — co wielce wartość kompozycji było podniosło.

Jan Kleczyński.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się arkusz 14-ty powieści pod tytułem: Zamek Daly.

OD WYDAWCY.

Wydawnictwa 20 tomowego

Powieści, Podróży, Pamiętników i Utworów Dramatycznych

tomy 39 i 40 (ostatnie z r. 1877) wyszły z druku i prenumeratorom zeszłorocznym rozesłane zostały.

Wydawnictwo to w roku 1878 nie wychodzi; szanowni prenumeratorowie zatem, którzy przedpłatę na rok bieżący nadesłali, raczą nadesłaną kwotę rozporządzić.

Serie z r. 1876 i 1877 z których każda z 20 tomów się składa, są jeszcze do nabycia. Cena każdej seryi rs. 4 kop. 80; z przesyłką rs. 5. Nabywający obie serie (40 tomów) płacą tylko rs. 9, tak w Warszawie jak i z przesyłką.

Michał Glücksberg, Księgarz-Wydawca.

wiek położeniu-bys się znalazł, czemkolwiek-bys był, będziesz błądzić i popełniać tak jak inni niedorzeczności“. Słowa Baliela sprawdziły się: Bogorya wraca do świata; przy pomocy swego dobrego ducha wciela się w rozmaite osobistości, występuje w rozmaitych charakterach, jest politykiem, trybunem ludu, bankierem, uczonym, garsonem hotelowym, aktorem, wreszcie pedagogiem i mężem, i zawsze na końcu kariery swoje kończy jakimś głupstwem — zupełnie tak jak tysiące innych ludzi. W końcu odbywa podróż do jakiejś utopijnej Rzeczypospolitej Neospartańskiej, która powinna być całkowicie odpowiadać jego ideałowi, bo bezwzględnie rządzi się teoryami rozumu. Ale i tutaj Bogorya przychodzi, po rozpatrzeniu się w stosunkach Neosparty, do smutnego przeświadczenia. „Znalazłem tam, powiada, samych głupców, bo zapomnieli o istnieniu serca i uczucia“.

Satyra, uderzająca z ironią i sarkazmem na społeczeństwo, przedstawiająca je pesymistycznie, dochodzi w końcu, razem z Bogoryą, do dodatniego rezultatu, że to, co głupstwem u ludzi nazywamy, jest często koniecznością ich natury, albo też dyssonansem, jaki w racjonalnym biegu spraw ludzkich sprawiają fantazyja lub uczucie — rzeczy zkadinać nie tak złe, niezaskługujące na pogardę i potępienie. „Przejrzałem, odzywa się po długich doświadczeniach Bogorya, a ludzkość nie przedstawia mi się już ową trzodą głupców, dla której żyć i działać nie warto — ale dla której cierpieć jest najpiękniejszem zadaniem serca pełnego miłości“.

Książce tej dodałoby zapewne więcej wartości gdyby nie była napisaną w sposób tak kosmopolityczny. Choć kreśli wizerunki brane z natury i naszego życia, ma ona niewiele swojskiego charakteru. Również Gilblasowska i allegoryczna forma jest dla nas dzisiaj nieco przestarzała, a tam, gdzie w cudowności przechodzi, wydaje się częstokroć niemal dziecinna. Ludzie XIX-go wieku, jesteśmy racjonalni i przejrzańscy nawet, i trudno nas wprawić w illuzję.

W literaturze naszej peryodycznej ubyłoby jedno pismo: *Przegląd krytyczny*, a pojawił się *Dwutygodnik naukowy*. Nowy ten organ prassy poświęcony jest specjalnie archeologii, etnografii i lingwistyce, umiejętnościom zatem nie tak dawnym i będącym obecnie na porządku dziennym. Do redakcji *Dwutygodnika* należą sami młodzi ludzie, zdaje się jednakże, że zadanie swoje pojmują oni i biorą całkiem na seryo. Dotąd przynajmniej widać w niektórych artykułach tego pisma sumiennosc i dobre przygotowanie się, co zawsze dobrą jest rekomendacją i daje rękojmię na przyszłość.

Efemeryczne katedry prelekcji publicznych w obecnej chwili zajęte są przez duchownych. Niedawno X. Pelczar, professor uniwersytetu i kaznodzieja, który w ostatnich czasach dał się poznać w kilku ważniejszych pogrzebowych mowach, mówił o życiu i czynach Piusa IX w burzliwych latach 1846 i 1848, a w tych dniach X. Polkowski, znany szczególnie ze swych prac o Koperniku, ma mieć odczyt o szkołach krakowskich i ubogich ich uczniach od najdawniejszych czasów. Dochód z tego ostatniego odczytu przeznaczony dla stowarzyszenia zajmującego się wspieraniem ubogiej diatwy szkolnej. O zawiązaniu tego stowarzyszenia pisał już dawniej w swoim czasie; dzisiaj mogę dodać, że dzięki staraniom kierujących niem osób, rozwija się ono pomyślnie i prawdziwy pożytek przynosi. Nie mogę tegoż samego powiedzieć o Towarzystwie ochrony zwierząt, które nie znalazło u nas dosyć dla siebie zwolenników, zapewne z tej przyczyny, że nie jest na czasie. Rzeczy ważniejsze naprzód iść powinny, a nim weźmiemy w opiekę zwierzęta, zrobić wprzód to, żeby ludzie nie wyciągali do nas ręki o pomoc i wsparcie.

TREŚĆ. Marya Elżbieta Kamińska, (zyciorys), przez Maryę Ilnicką. — Sąsiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Kwiaty i Wienie, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcieckiego. — *Przegląd teatralny*, przez Edwarda Lubowskiego. — *Korrespondencja zagraniczna*, (Kraków). — *Ruch muzyczny*, przez Jana Kleczyńskiego.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Марта 1878 года.